

IRLANDIA

albo frytki z octem

czyli Zielona Wyspa oczyma pewnego emigranta

MARCIN SZULC

Wydano przy finansowym wsparciu:



Kancelaria Rostra Solicitors

www.polskiprawnik.ie

www.FrytkiZoctem.pl



@frytkizoctem

Projekt okładki

Ginger Greenidge

Fotografia na okładce

©Rafał Kostrzewa, photocatchthemoment.com

Redakcja

Przemysław Zgudka

Korekta

Łukasz Milewski/tamaryszek.art

Skład

Adam Skłodowski/tamaryszek.art

© Marcin Szulc

© Wizard Media

ISBN 978-1-9998158-1-3

Wydawca

Wizard Media, www.wizardmedia.ie

I --- **RLANDIA** ---

albo frytki z octem

czyli Zielona Wyspa oczyma pewnego emigranta

MARCIN SZULC



Wizard Media

*Miłości mojego życia, z którą wspólnie znosimy Irlandię
...i Dzieciom.*

1



Kocham cię jak Irlandię

Gdy piszę te słowa mija właśnie 6 lat, 8 miesięcy i 20 dni od naszego przyjazdu do Irlandii. Gdy robię tę korektę do druku – 14 lat, 2 miesiące i 16 dni. Jak widać, książka trochę przeleżała w szufladzie.

Zielona Wyspa ugościła nas zacie. Przyjechaliśmy tutaj z moją Ukochaną – oczywiście nie mógłbym podjąć się tego odyseuszowego zadania samodzielnie. Przyjechaliśmy, bo Najjaśniejsza Rzeczpospolita pogardziła naszymi (i jeszcze kilku milionów innych) umiejętnościami i wiedzą. Przyjechaliśmy korzystać z naszej edukacji i płacić podatki tutaj, a nie ku chwale i pożytkowi Rzeczypospolitej. Możecie mi wierzyć lub nie, ale moje głębokie poczucie patriotycznej więzi z Ojczyzną mocno na tym ucierpiało.

Po ukończeniu prawa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu mogłem wybierać w ofertach pracy w sprzedaży

bezpośredniej (coś w stylu *Amway* czy coś podobnego) lub pracy na innych stanowiskach oszałamiających szybkością i perspektywami rozwoju typu „przynies-podaj-pozamiataj”. Pracowałem za to przez jakiś rok jako asystent (pieszczotliwie: „asystentka”) w firmie, której chyba wszyscy szefowie mieli nazwiska skrócone do inicjałów przez kilka lat, a prokuratura w Ostrowie Wielkopolskim była nimi żywotnie zainteresowana.

Zagubiony i zszokowany możliwościami wyboru postawiłem na własną firmę z moim najlepszym wówczas przyjacielem. Efekt jest taki, że nie mam firmy, przyjaciela i mieszkam w Irlandii. Natomiast moja Ukochana, po znalezieniu mi pracy, której sam bezowocnie szukałem, altruistycznie porzuciła swoją pracę u ludzi z inicjałami zamiast nazwisk i wspaniałomyślnie udawała, że daje się uwieść mirażom moim i mojego najlepszego podówczas przyjaciela.

O ile wiem, dlaczego wybraliśmy (albo raczej ja wybrałem, za co poniekąd przepraszam) Irlandię, o tyle dalej nie wiem, dlaczego nie mam ani firmy, ani przyjaciela. Pomimo moich próśb Andrzej, znany również jako Bartosz, milczy jak zaklęty. Ostatni raz rozmawiałem z nim w gorący czerwcowy dzień na parkingu olsztyńskiego ratusza, zaraz po tym, jak oddałem mu swoje udziały w spółce u pobliskiego notariusza. Przyjdzie kiedyś taki dzień, w którym się dowiem. Spotkałem go jeszcze raz na ulicy w Olsztynie w 2015 roku. Umówiliśmy się na wódkę, ale nie przyszedł.

Wracając do tematu Irlandii: mój wybór zawdzięczam Krzysowi i Justynce (bardziej Krzysowi, bo znamy się dłużej), którzy prowadzą teraz wspólnie Towarzystwo Polsko-Irlandzkie i Fundację Kultury Irlandzkiej w Poznaniu.

To Krzyś, swoim bezbrzeżnym i zaraźliwym (bardziej od

niosącej grozę świńskiej grypy) entuzjazmem, zaraził nas (a może tylko mnie) bakcylem zwanym Irlandią. To właśnie ów Krzys organizował (przynajmniej do czasu, gdy jeszcze ktoś był na to chętny) wyjazdy wakacyjne do Irlandii. Objazd taki – dwutygodniową tułaczkę po wszystkich pięknych zakątkach Wyspy – przeżyłem i jestem mu za to bardzo wdzięczny.

Muszę przyznać, że to właśnie jeden z często powtarzających się obrazków przekonał moją Najukochańszą do wyjazdu do Irlandii. Ów widok, o którym tu piszę, to palmy, a właściwie przerośnięte juki w co drugim przydomowym ogródku. Przecież jak rosną palmy to musi być ciepło, prawda?

Otóż, jak okazuje się po wnikliwych badaniach organoleptycznych, niekoniecznie. Wystarczy, że nie jest zimno. Czy może raczej – nie ma mrozu. Bo trzeba Państwu wiedzieć, że brak mrozu wcale nie równa się temu, że jest ciepło. Brak mrozu nie oznacza nawet tego, że nie jest zimno.

Jak dowodzą długotrwałe badania na ludziach (okazami użytymi do badań byliśmy ja sam oraz moja Luba), stan odczuwania przeraźliwego zimna można osiągnąć już przy temperaturze około 15°C. Wystarczy jedynie odpowiednia wilgotność powietrza, nieustający i wytrwały wiatr o odpowiedniej sile, wiejący z każdej i w każdą stronę, oraz opady atmosferyczne o jakimkolwiek nasileniu. O pogodzie jednak opowiem później.

Historia daje przykłady tego, że najlepszym lekarstwem na zauroczenie jest dostać i pojąć w końcu obiekt swoich westchnień. Z tego właśnie powodu żaden francuski lub włoski komunista nigdy nie był w Związku Radzieckim (i, chwała Najwyższemu, nigdy już nie będzie, ponieważ Kraj Rad dokonał swojego żywota). Z drugiej strony, jako że George Orwell wybrał się do

nieistniejącego już państwa powszechnej szczęśliwości i sprawiedliwości społecznej, przestał być komunistą i napisał „Rok 1984” oraz „Folwark zwierzęcy”.

Zauroczony Irlandią po tournée z Krzysiem i Towarzystwem Polsko-Irlandzkim, kilka ładnych lat później założyłem w Olsztynie oddział Towarzystwa. Swoim entuzjazmem postanowiłem zarażać innych. Nakręciwszy się sam, już kilka miesięcy później byłem w Irlandii i dołączyłem do grona „nieudaczników”¹, którzy nie radzili sobie w Polsce i dlatego musieli emigrować. Związek frazeologiczny „Kocham cię jak Irlandię” z upływem czasu nabrał dla mnie słodko-gorzkiego posmaku. Zdecydowanie nie takiego, jakim to sobie wyobrażał.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jestem daleki od nienawidzenia czego- lub kogokolwiek, a Irlandii w szczególności. To właśnie tutaj urodziła się dwójka moich wspaniałych dzieci. Tutaj rozwijam się zawodowo tak, jakbym sobie tego życzył (choć jakieś 5 do 10 lat później niż reszta znajomych ze studiów). Tu mogę pozwolić sobie na standard życia, jaki w Polsce jest trudny do osiągnięcia przy pracy jedynie 40 godzin tygodniowo na przeciętnej posiadzie. To tutaj wszystko jest tak, jak być powinno.

Zdaję sobie sprawę, że gdy piszę te słowa setki osób dziennie idzie tutaj na bezrobocie i całe mrowie rodaków wraca do Polski z pustymi rękoma, bo w Irlandii stracili pracę i szukając nowej spłukali się do szczętu. Mnie, na całe szczęście, ominęło nieszczęście

¹ Określenie za Lechem Kaczyńskim, podczas przemówienia przed 10 Downing Street w Londynie, 7 listopada 2006 roku: „Zdaję też sobie sprawę, że dla wielu z natury nieudolnych osób Wielka Brytania jest punktem docelowym w poszukiwaniu lepszego życia”. Za: „DM”: wg Kaczyńskiego, „nieudolni” Polacy jadą do W. Brytanii, „Onet.pl” (Archive.org), <https://web.archive.org/web/20061111200924/http://wiadomosci.onet.pl/1430677,12,item.html>.

bezrobocia w czasie kryzysu. Dziś, w 2018 roku, tylko ci, którzy nie chcą lub nie mogą nie znajdą tutaj pracy.

Mój stosunek do Irlandii jest zatem ambiwalentny. Z jednej strony jestem jej wdzięczny za szansę, którą dostałem. Z drugiej – nie mogę nadziwić się temu, jak miejsce o tak wyrazistej jak zapach dworca Warszawa Centralna charakterystyce mogło w tak krótkim czasie zawojować wyobraźnię całej Europy i ściągnąć do siebie wielu spośród tych, którzy nie mogli odnaleźć się w swoim kraju i dać im tutaj szansę.

Mówiąc o zapachu wcale nie mam nic złego na myśli. Irlandia jest po prostu inna i wiele rzeczy, które tutejsi uznają za normalne, szokują kontynentalnych Europejczyków. I to bardziej niż drobne dziwactwa Brytyjczyków.

Wiele rzeczy jest z pozoru identycznych, lecz przy bliższym poznaniu okazuje się, że pod powłoką normalności czai się celtycki duch. Który na każdym kroku znajduje irlandzkie rozwiązanie irlandzkiego problemu.

O tym właśnie smaczku, który jest tak specyficzny jak smak „cynaderek o lekkim posmaku uryny”², zamierzam tutaj napisać.

² Za „Ulisessem” Jamesa Joyce’a. Stronę podam, gdy „Ulissesa” przeczytam.

oznakowywania ludzi różnymi numerami na potrzeby różnych ministerstw do Irlandii nie dotarły. Być może to wina poczty. Choć ta jest w Irlandii bliska szwajcarskiej niezawodności, wszystko zwała się tu na pocztę. Nie jest mi znany przypadek, w którym tutejsza poczta by zawiodła. Ale zwalić można na nią wszystko.

Bardziej jednak prawdopodobne jest to, że wysłano te wytyczne drogą internetową. Spokojnie dojdą do nich jak podłączą internet do Ministerstwa Liczb Zbędnych.

Po powyższej, trochę przydługiej dygresji³ wróć do tematu numeru PPS. Do zdobycia numeru marzeń potrzebne są dwie (*de facto* trzy) rzeczy: potwierdzenie adresu i dwa dokumenty tożsamości. Jednym z nich musi być paszport. I to mimo że z dowodem osobistym można przekraczać granice. Dowód może być tym drugim, chociaż nie musi. Ważne, żeby był to dokument z nazwiskiem. Niekoniecznie ze zdjęciem.

Moi bracia, na ten przykład, posłużyli się kartą do zbierania punktów na stacjach benzynowych w Polsce i kartą biblioteczną (lub czymś podobnym) jako tym drugim dokumentem. Były to świetny żart, gdyby nie było to prawdą.

Czasy niewinności i naiwności niestety się skończyły i takie numery dzisiaj nie przejdą. Choć do niedawna naiwność i, śmiem twierdzić, zwykła, pospolita głupota Gardy, pozwalała na uniknięcie kary piratom drogowym, a właściwie jednemu piratowi drogowemu. Jest on intensywnie poszukiwany przez irlandzką Gardę. Jest Polakiem i podał kilkadziesiąt różnych

³ Uprzejmie proszę, aby P.T. Czytelnicy przywykli do dygresji o różnych długościach, w tym i do takich, które zupełnie wybijają z rytmu i powodują konieczność powrotu o kilka akapitów wstecz, żeby sprawdzić, o czym było wcześniej.

adresów, lecz nie mieszka pod żadnym z nich. Nazywa się Prawo Jazdy i ktokolwiek zna jego obecne miejsce pobytu proszony jest o skontaktowanie się z najbliższym posterunkiem An Garda Síochána.

Za ten wyczyn Garda została wyróżniona Antynoblem z dziedziny literatury w 2009 roku⁴. I nie jest to żart. Dzięki temu wyróżnieniu Garda dołączyła do grona wspaniałych laureatów, takich jak „bankowcy” z Nigerii poszukujący poprzez e-maila spadkobierców zmarłego generała, którzy potrzebują pomocy i konta adresata wiadomości.

Potwierdzenie adresu to z kolei wynalazek potwierdzający zamieszkanie w kraju, który nie zna obowiązku meldunkowego. Jest to rachunek za prąd, gaz, telefon (stacjonarny), wyciąg z banku lub inny list z irlandzkiej instytucji państwowej. W czasach niewinności wystarczył rachunek na czyjekolwiek nazwisko i list od tej osoby – że okaziciel, Pan/Pani taki-i-taka również zamieszkuje pod tym adresem. Wydaje mi się, że te czasy odeszły w otchłań niepamięci po tym, jak okazało się, że w kilku(set) mieszkaniach w centrum Dublina mieszka średnio po 74,5 osoby na metr kwadratowy. Sami Polacy.

Naszym potwierdzeniem adresu był wydruk otrzymany ręcznie, a nie pocztą (o zgrozo!), stwierdzający, że jesteśmy klientami elektrowni pod naszym nowym adresem. Co gorsza, list nie był na papierze firmowym! Był za to podstemplowany, co wzbudzało podejrzenia u wielu osób.

Trzeba Wam wiedzieć Szanowni Państwo, że wynalazek pieczętki nie wywarł w Irlandii takiego piętna jak w Polsce,

⁴ Szerzej o Anty-noblach: http://pl.wikipedia.org/wiki/Nagroda_Ig_Nobla.

okupowanej przez uwielbiające biurokrację Austro-Węgry, Prusy oraz Rosję. Inaczej niż w naszej części Europy, tutaj liczy się papier, na którym coś zostało napisane, a nie pieczętka na nim.

W obrocie nieruchomościami, co z pewnością przyprawi o palpitację każdego notariusza, za podpis wystarczy nagłówek papieru firmowego i oświadczenie na nim zawarte. Może być nawet bez podpisu.

Wracając do tematu PPS. Dostaliśmy go i przyszedł do nas pocztą, będąc pierwszym potwierdzeniem adresu z prawdziwego zdarzenia.

Rozwodzę się tutaj na temat potwierdzenia adresu, a do tej pory nie zająknąłem się jeszcze na temat szukania mieszkania, czyli samego adresu. Na całe szczęście do Irlandii dotarliśmy już po internetowej rewolucji w tym zakresie i Daft.ie znacznie nam się tu przysłużył.

Drzewiej, podobno, trzeba było wertować sterty gazet. W dobie post-rewolucyjnej wszystko było „na dafcie” i namierzenie kwater spełniających nasze mało wygórowane wymogi nie sprawiło większego problemu.

Jak to zwykle bywa, życie zweryfikowało kilka ofert i w końcu dotarliśmy na Drumcondrę (taka dzielnica w Dublinie), gdzie pokazano nam kawalerkę, około 30 m² (kuchnia, łazienka, pokój dzienny i sypialnia), która przez następne trzy lata była nam domem. Większe to było tylko ciut od chlewu, w stanie dobrym i bez (widocznego) zagrzybienia, które jest prawdziwą plagą w Irlandii.

Ostatnimi czasy wynajmowanie mieszkania w jakimkolwiek miejscu Dublina jest chyba droższe niż na Champs-Élysées czy Piątej Alei. Internet obfituje w „okazje” typu dmuchany materac

na podłodze obok wersalki za „jedynę” €325 miesięcznie⁵.

Mając już owo lokum zaczęliśmy kombinować z adresem, jego potwierdzeniem i numerem PPS.

Po tym, jak złożyliśmy wniosek o numer PPS, a zanim dostaliśmy go pocztą, musieliśmy otworzyć konto w banku i przeszliśmy gehennę z udowodnieniem adresu. Gdy weszliśmy do banku AIB, bo był po drodze, powiedziano nam, że i owszem, konto nam otworzą. Nie dane nam było jednak pochwalić się naszym adresem. Poproszono nas za to, aby przyjść w czwartek, w następnym tygodniu. Na otwarcie konta trzeba było się w tym banku umówić. Tak z ulicy wejść i otworzyć konta sobie nie można.

Otwarcie konta w 10 minut, jak to potrafią niektóre banki w Polsce, to w Irlandii science fiction. W niektórych bankach już można założyć konto bez umawiania się na spotkanie, ale na numer konta trzeba poczekać jakiś tydzień. Wniosek, owszem, złożyć można, ale konto zacznie działać dopiero za jakiś czas, po zatwierdzeniu jego otwarcia.

„Jakiś czas” to bardzo istotne pojęcie w Irlandii. „Jakiś czas” ma długość zależną od kontekstu i doświadczenie uczy mnie, że zawsze trzeba „jakiś czas” zdefiniować i doprecyzować. Na całe szczęście mały oddział banku na rogu naszej nowej ulicy nie był bardzo wnikliwy. Poczucie więzi lokalnej jest w Irlandii bardzo silne i fakt, że mieszkaliśmy (od 2 dni) na tej ulicy otworzył nam serca bankowców.

Potem było z górki i pierwszą pracę znalazłem w trzy dni.

⁵ Sasha Brady, *Inflatable mattress in a shared room advertised for €325 per month in Dublin*, „Independent.ie”, <http://www.independent.ie/irish-news/news/inflatable-mattress-in-a-shared-room-advertised-for-325-per-month-in-dublin-36090743.html>.

Przepracowałem w niej 10 miesięcy.

Szukanie pracy w moim wykonaniu wyglądało następująco: na klatce schodowej naszego nowego mieszkania znaleźliśmy „Yellow Pages” (ang. Żółte Strony) – taki irlandzki odpowiednik „Panoramy Firm”. Za radą swojego niezastąpionego doradcy zawodowego (czyt.: Żony) otworzyłem je na stronie „Ochrona” i zacząłem dzwonić do firm ochroniarskich w kolejności alfabetycznej.

Fakt, że znalazłem pracę w firmie o nazwie „Aran” najlepiej świadczy o tym, że zbytnio nie napracowałem się przy szukaniu tejże pracy. Świadczy to też o tym, jak wielka była potrzeba świeżej siły roboczej w Irlandii.

Wysłałem życiorys. Następnego dnia miałem rozmowę kwalifikacyjną, a już od kolejnego wieczora pilnowałem poprawczaka i nudziłem się jak mops.

Jeśli ktoś myśli, że praca była trudna, bo z trudnymi dziećmi, to grubo się myli. Już na wstępie powiedziano nam, że do spraw wewnętrznych mamy się nie mieszać. Jeśli dziecko pryska, to powinniśmy rozważyć otwarcie bramy. Żeby gówniarz się nie skaleczył przechodząc przez płot.

Powiedziano nam również, że większość z nich wraca, gdy tylko skończą im się pieniądze albo gdy wciągną już dosyć kokainy. Ponieważ jedno wiąże się z drugim (wyczerpywanie finansów z nadużywaniem kokainy), wracali dość szybko. Zawsze jednak z klasą. Taksówką na koszt podatnika. Bo taksówkarz miał płacone przez poprawczak. Nie wiem co prawda jak działa to w Polsce, ale jakoś trudno mi uwierzyć, że, *primo* – uciekinier sam wraca – i, *secundo* – poprawczak płaci za jego taksówkę. Podatnik i tak pewnie pokrywa koszt radiowozu, który dostarcza gówniarza do zakładu poprawczego. Jestem jednak pewien,

że komfort jazdy w „suce” jest inny niż w taksówce.

Muszę rozczarować wszystkich, którzy pomyśleli sobie, że magister prawa będzie najlepiej wykształconym ochroniarzem w Irlandii. Nie byłem. Bardzo szybko się okazało, że praca poniżej kwalifikacji to w Irlandii raczej norma niż wyjątek. Któregoś dnia okazało się, że pracuję z lekarzem z Białorusi. Miły ów Słowianin, o budzącej respekt aparycji, przygotowywał się do egzaminów językowych potrzebnych mu do zarejestrowania się w Irlandii jako lekarz. Nie był zbyt rozmowny i po jego szybkim zniknięciu wnoszę, że egzaminy owe zdał i zajął się tym, do czego uczył się tak długo – leczeniem ludzi.

Pracowałem też z całą plejadą dobrze wykształconych Hinduśców, którzy myśleli, że przyjadą do Irlandii, żeby poznać trochę świata i zdobyć wykształcenie na renomowanych uczelniach. Jednemu z nich obiecałem, że nigdy nie powiem (nawet, jeśli będę miał okazję) jego rodzinie o tym, co robił w Irlandii. Gdyby jego zacna rodzina wiedziała, czym się tu zajmował, podobno zostałby wydziedziczony. Kilka ukończonych szkół i kilka dyplomów z Indii nie były wystarczająco dobre, by robić w Irlandii cokolwiek poza pilnowaniem majątku poprawczaka lub pracą w restauracji w charakterze kelnera bądź pomywacza.

Uważam to za bardzo smutne i jestem przekonany, że Irlandia nawet nie wie o wielkiej szansie, którą przegapiła. Ludzki potencjał, jaki przybył do Irlandii był o wiele większy niż cokolwiek mógł to przewidzieć i z całą pewnością nie został wykorzystany. Magistrowie na ochronie, sprzątaniu, magazynach i kasach. Wykształceni ludzie, znoszący pracę poniżej możliwości i godności.

Wszystko dlatego, że tutaj, inaczej niż w Polsce, za pracę się